



Zbigniew Skoczylas

część II z IV

Sygnatura notacji: **N0005**

Data urodzenia: **02.08.1928 r.**

Data nagrania: **13–14.11.2006 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 49 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 48 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zbigniew Skoczylas: Dziwny to był kraj, ta Polska Ludowa. W Morskim Oku w schronisku gościli bardzo często: ówczesny premier, pan Cyrankiewicz, który się regularnie urywał obstawie i prowadząc sam, bez kierowcy, przyjeżdżał na pstrąga. Co było zapowiedziane. Franciszek Przesławny łowił tego pstrąga dla pana premiera, no i rano pan premier przyjeżdżał i pod Litworóweczkę go konsumował. Kiedyś wieczorem właśnie tego pstrąga w galarecie zrobiono i zamknięto go w magazynie przy kuchni. A to były te dobre czasy, kiedy magazynu nie zamykano na noc, jak ktoś późno przychodził ze wspinaczki, to szedł do magazynu, brał, co tam chciał wziąć i rano się dziuni zgłaszało, że wzięto i to się płaciło. No więc jak już wszyscy poszli, to my z Jasiem, spać, to my z Jankiem Długoszem zeszliśmy do magazynu, zabraliśmy ten półmisek z tym pstrągiem w galarecie, rozsunęliśmy galaretę, wyjęliśmy pstrąga, opitoliliśmy go na czysto, kościotrupik wsadziliśmy w galaretkę, przyklepali to wszystko, odstawiliśmy na półkę, rano spakowaliśmy plecaki i czekamy, co to będzie. Pan premier przyjechał, pognął tam do tego pokoju biurowego, tam po chwili szcęk talerzy, sztucców, no i dziunia wyszła po pstrąga. Wyszła po pstrąga, weszła do magazynu, wzięła pstrąga i ruszyła do gabinetu. Otworzyła drzwi i potem Czesiek Kołopiński mi to relacjonował, że on wie, jak wyglądała żona Lota. Mianowicie tuż przed wejściem do środka ona na to spojrzała i zobaczyła, że jest ten kościotrupik, więc zrobiła w tył zwrot, pan premier dostał coś innego, ale nosa to ona miała wyjątkowego, bo jak Cyrankiewicz wyjechał, to dziunia weszła na salę i oświadczyła: „Panowie Długosz i Skoczylas, opuszczą natychmiast schronisko, bez komentarzy”. Pamiętam jak kiedyś przyjechał Gomułka w Wielkanoc rano, a ja z moją córką Jagą, która wtedy była skutem chyba 5–6-letnim, właśnie szliśmy z dołu, z tysej Polany do schroniska i wchodzimy na ganek, wchodzimy na werandę, bo to Wielkanoc, to już weranda jest czynna, bo to takie późne śniadanie, 10:00 godzina, tłum wiary siedzi, same tatarniki, a z sali wychodzi ze świąt Gomułka i w tym momencie cała weranda skanduje „Skoczylas,

Skoczył”. Pan Władysław zrobił kwadratowe oczy, obsługa nawet nie drgnęła, no już, była taka sławna historia z prezydentem Kekkonenem, który był narciarzem dobrym, no i będąc w Zakopanem postanowił wyjść na Kasprowy i zjechać sobie z Kasprowego na Halę Gąsienicową. Ale jakoś umknęło to uwadze, bo on, żeby na Kasprowy i tego, a po cichu zabrał narty. No oczywiście na Kasprowym zrobiono ogromną przymiarkę, tam toalety obsadzono jakąś super [niezrozumiałe] z chyba Orbisu, ta Sopczykula, która je prowadziła kłęta i krucyfikowała tam, że jak na co dzień to tak, a jak tak to... No i pan premier wyszedł na górę, przynieśli mu jego ludzkie narty, przypiął narty i pojechał na dół do Zakopanego, na Halę Gąsienicową. Obstawy nie miała nart i była w półbutach, i ruszyła za panem prezydentem. Pan prezydent zjechał na dół, poszedł w stronę stawków gąsienicowych, pod Mylną tam, na Kościelec. Oni cały czas próbowali go dogonić. Ja byłem wtedy na hali w schronisku, jak widziałem, jak oni przyszli, bo on dotarł, wypił herbatę i się zabrał, a oni dotarli. No słuchaj, tak złachmanionych ludzi to ja w życiu swoim nie widziałem. Więc tam wszyscy ci... Pamiętam, że przyjeżdżał Spychalski bez obstawy i szedł na wspinaczkę z Cześćkiem Łapińskim. Dwa razy pamiętam, że Janka Długosza i mnie Łapiński prosił, żebyśmy poszli jako tacy partnerzy do tego. Ale takie [drogie pomoc na Mnichu? niezrozumiałe, 00:04:55] Pan Marszałek twardziutko, w zimie. Kliszko chodził sam z córkami po Tatrach. Jak dzisiaj oglądam te obstawy, które zapychają za każdym notablem od dyrektora departamentu w górę, to mi się śmiać chce. Przecież wtedy było wiadomo, że ludzie nie kochają tej władzy, ale jakoś ta władza się nie bała sama poruszać. Inną sprawą była przesławna sprawa Tatarników. To nie było jakieś specjalne prześladowanie środowiska tatarnickiego, tylko chłopcy postanowili się zabrać do konspiracji. Oczywiście bawili się po polsku. Najgorzej na tym wyszła Halina Kryger, u której w mieszkaniu oni sobie zrobili skład przemycanych druków, nie mówiąc Hali o tym, co tam jest w tych paczkach. My sobie to tu zostawimy i po to przyjdziemy. Ale jak ich capnięto, bo ich capnięto w Czechosłowacji, i Czesi ich przekazali na tę stronę, to oczywiście chłopcy nie wytrzymali i puścili parę. No i Hala miała potworne problemy, przecież ją wywalono z pracy, różne rzeczy były. Powiedzmy negatywny stosunek do władzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej miało 99,9% środowiska tatarnickiego, demonstrując to jednoznacznie na terenie Tatr. I jakoś władza to tolerowała.

Anna Pietraszek: W sprawie tatarników to pojawia się nazwisko Michała Jagiełły.

Zbigniew Skoczył: No, wiadomo, prawda, bardzo krótko, któryś tam sekretarz od spraw kultury Komitetu Centralnego. Michał był podobnie jak to, bo to była ta sama historia. No to powiedzmy Tadek Nowicki był z rodziny, która przed wojną ostro komunizowała. Jego ojciec był członkiem Polskiej Partii Komunistycznej, nauczyciel zresztą szkoły, w której ja chodziłem do pierwszej, drugiej, trzeciej i czwartej klasy, pan Nowicki uczył. Środowisko nauczycielskie, głównie tych szkół podstawowych, inaczej to wyglądało w szkołach średnich, było ostro skomunizowane. Ostro skomunizowano, pani Wanda Wasilewska, e tutti quanti . A Michał Jagiełło był, no, powiedzmy, niewątpliwie, znaczy interesu żadnego na tym nie zrobił. Jak się zorientował, w jaką stronę zmierza cała historia, no to ostro, prawda, zareagował, złożył legitymację, został, wyleciał z KC, i potem został naczelnikiem GOPR-u. Ale członków partii było w środowisku wielu, tylko że akurat zasada obowiązywała taka, że nawet jak byłem kierownikiem obozowiska, to punkt drugi regulaminu, punkt pierwszy głosił, że kierownik ma zawsze rację. Punkt drugi, jeśli kierownik nie ma racji, patrz punkt pierwszy, a punkt trzeci głosił, że próby przenoszenia dyskusji politycznych w jakiegokolwiek formie na teren obozowiska kończą się wyrzuceniem na zbity mordę z jego terenu. Tak to wyglądało. No tak, jak trafiłem do wojska? No więc w całym dość ciekawy sposób. Mianowicie w okresie, w latach 1948–1950 istniały w polskich

siłach zbrojnych, czyli w Ludowym Wojsku Polskim, przy każdej dywizji szkoły oficerów rezerwy. Wierna kopia przedwojennych podchorążówek rezerwy w ówczesnym Wojsku Polskim. Były to kompanie, do których kierowano wszystkich tych, którzy ukończyli szkołę średnią, a więc maturę, i trwało to 12 miesięcy. Po 12 miesiącach pierwszy rocznik, to był rocznik 1948–1949, w całości poszedł do rezerwy. Drugi rocznik, w którym ja byłem po zdaniu matury w 1949–1950 roku, w międzyczasie zmienił się minister obrony narodowej. Odwołano pana marszałka Rolę-Żymierskiego, a na jego miejsce przyszedł pan marszałek Rokosowski. I pan marszałek Rokosowski przystąpił do realizacji planu modernizacji i rozbudowy polskich sił zbrojnych. Ponieważ do tego trzeba było znacznej liczby oficerów, wobec tego podjęto decyzję o zatrzymaniu prawie 50% absolwentów szkół oficerów rezerwy. 50% chłopaków kończąc tę szkołę nie poszło do rezerwy, tylko zostało wcielonych do sił zbrojnych jako oficerowie stanu czynnego. No i mnie to też załapało, bo byłem prymusem w tej podchorążówce. To była szkoła oficerów rezerwy przy pierwszej dywizji. Każda dywizja miała taką szkołę, a oprócz tego istniały szkoły dla lotnictwa, taka szkoła była oficerów rezerwy, dla broni pancernej, dla artylerii, dla saperów. Nie pomnę jeszcze jakie. W każdym razie było tego sporo. No i stamtąd wszyscy powędrowaliśmy do jednostek. Mnie skierowano do bardzo wysokiej, bo wtedy rozbudowywano siły zbrojne bardzo ostro. Wojnę skończyliśmy mając, praktycznie rzecz biorąc, 10 dywizji piechoty i do 1949 roku tylko tyle dywizji było. Natomiast program Rokosowskiego doprowadził do zwiększenia liczby dywizji piechoty do 30. Powstały korpusy pancerne i zmechanizowane. Dużo tego było. Ja dostałem się w taką 30. dywizję piechoty formowaną w oparciu o garnizony Przemyśl i Jarosław. Zresztą to był 92. Pułk Piechoty w Jarosławiu. No i tam pełniłem służbę przez 3 lata. Ale była ciekawa służba. Między innymi wracając do osoby marszałka Rokosowskiego, ja go pamiętam, jak to był chyba rok 1948, tak, otwarcie Mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Jak pan marszałek Rokosowski w mundurze marszałka radzieckiego był zaproszony na uroczystość otwarcia tego mostu. No i próbował mówić po polsku, ale nawet nie rusaczył. Mówił fatalnie. Natomiast bardzo szybko nauczył się mówić stosunkowo ładnie po polsku. Znaczący on miał ten taki typowy dla akcent, ten akcent rosyjski z akcentem na ostatnią sylabę, samogłoskę. No i zaciąg miał taki wschodni, ale starał się mówić ładnie. I przede wszystkim ładnie mówił w sensie logicznej budowy zdań. A dlaczego to mówię? Bo w 1951 roku, 1952 roku, czyli to było w 1950 roku on się pojawił w tej roli. Właściwie późną jesienią 1949 roku, a w 1952 roku było pierwsze wielkie ćwiczenie frontowe, które on prowadził w Spale. No i tam między innymi zbudowano stół plastyczny, taki na którym miano odtworzyć przebieg operacji frontowej. No to to miało 15 metrów na 30, taki stół plastyczny wielki. Ściągnięto wszystkich, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie o stołach plastycznych, a ponieważ ja się lubiłem, moim konikiem była topografia wojskowa i między innymi stoły plastyczne, to się tam znalazłem. I myśmy ten stół plastyczny zbudowali. W związku z czym udało się podłuchać wystąpienie Rokosowskiego, jak on, to był taki etap, jak on przedstawiał zasady wprowadzenia armii pancernej w ugrupowaniu frontu. Więc to było widać i słyhać, że to mówi i przedstawia gość, który taką armię pancerną kilka razy wprowadzał w ugrupowaniu. Kapitalnie, ja to dzisiaj słyszę, dzisiaj widzę, znaczący od strony fachowej to był genialny patent. Jednocześnie był to, z pomiędzy tych wszystkich marszałków sowieckiego Sojuza, chyba najkulturalniejszy pan. Nie rugał, nie bluźgał, do mordobicia jak Żukow się nie posuwał nigdy. Przyprowadził, bo u nas w tym Ludowym Wojsku Polskim były niejako trzy generacje oficerów radzieckich. Pierwsza generacja to byli ci, których włączono w skład pierwszej i drugiej armii Wojska Polskiego, bo nie było takiej liczby polskich oficerów, która by te dwie armie mogła obsługiwać. No i byli to bardzo różni oficerowie, bo wiadomo było, jak dowódca radziecki miał przekazać jakiegoś oficera na rzecz Wojska Polskiego, to choćby mu kazali, żeby to był najgenialniejszy, to w pierwszej kolejności kopa dawał wszystkim swoloczy i to odsyłał. No i takich było mnóstwo. Nałogowych pijaków przede wszystkim, którzy nic nie

robili, tylko wodę chlali, przygłupów i wszelkiej innej swofocy. Potem był drugi taki rzut, który się u nas pojawił niejako jako doradcy i oficerowie na niektórych stanowiskach, ale już po wojnie. To głównie chyba dzięki generałowi Korczycowi, ówczesnemu szefowi Sztabu Generalnego, który zorientowawszy się w brakach Ludowego Wojska Polskiego, próbował jakoś tę kadrę podbudować. W tym czasie zaczęto też niektórych co większych pijaków wywalać z powrotem do Związku Radzieckiego, na co oni nie mieli specjalnej ochoty. Potem był ten trzeci wielki rzut. On nie był wielki, ale wtedy Rokosowski sprowadził swoją ekipę. To byli wszyscy, wszystko kadrowi żołnierze Armii Czerwonej, a potem Radzieckiej, z reguły w stopniach podpułkowników, pułkowników i generałów. No i to byli fachowcy najwyższej klasy. Ja miałem przyjemność spotykać się często z dwoma takimi. To był taki generał Miszczenko, a potem generał Ogórcow, doradca przy XII Korpusie, bo oni występowali w roli doradców, oni bezpośrednio niczym nie dowodzili, ale wszędzie byli doradcami. No i byli to fachowcy, po prostu doskonali oficerowie. Widać było, że Rokosowski zadbał, żeby na te stanowiska trafili najlepsi ludzie. Całe to bractwo wybyło z nielicznymi bardzo wyjątkami z Polski, po 1956 do 1958 roku już ich prawie nie było. Za pewnymi wyjątkami. Na przykład pozostał do końca oficer Armii Radzieckiej generał Jerzy Bordziłowski, szef sztabu generalnego Wojska Polskiego. I tu znowu muszę stwierdzić, że był to fachowiec niesłychanej klasy. U mnie w pamięci pozostaje takie ćwiczenie, które on prowadził z 6. Dywizją Powietrzno-Desantową. Dowódcą był wtedy generał Rozłubirski, a tematem ćwiczenia był desant, operacja powietrzno-morska, operacja desantowa na Zelandii. Otwarcie cieśnin duńskich. I on prowadził omówienie tej operacji, suchej nitki, nie zostawiając na generale Rozłubirskim, on już wtedy był generałem. No i na działaniach całej 6 Dywizji. Bo pamiętam, że on stwierdził, że „generale Rozłubirski, jeżeli by tak rzeczywiście wyglądało wasze działanie na wyspie Zelandii, to jestem pewien, że by was Duńczycy na lądzie oprowadzali po Kopenhadze”. Rzeczywiście wyszło fatalnie. Więc te trzy lata spędziłem w Jarosławiu, potem ten mój pułk przemianowano, bo skasowano pułk 26. w... Gdzie on był? Nie w Jaśle? W Jaśle, tak. W Jaśle, w Sanoku, przepraszam. W Sanoku. Numerację tego pułku przejął nasz 92. Pułk i wtedy pełniłem służbę w 26. Pułku Piechoty. No a potem przeniosłem się z powrotem do mojej macierzystej Dywizji, czyli pierwszej Dywizji, bo moja podchorążówka, którą kończyłem, mieściła się przy 2. pułku w Skierniewicach, a ja potem do tego pułku wróciłem na dowódcę kompanii do Skierniewic. I stamtąd właśnie pojechałem sobie w Alpy Szwajcarskie. Jak wróciłem, to nikt inny, tylko dowódca pułku, pułkownik Baryła, zrobił kwadratowe rzeczy. Mówi: „To co wyście jednak wrócili? Nie zostaliście?” Ja mówię: „Dlaczego miałem zostać?” „No, wszyscy myśleliśmy, że zostanieie”.

Anna Pietraszek: Jak było to możliwe, że jako już żołnierz Ludowego Wojska Polskiego, że mogłeś wyjechać za granicę?

Zbigniew Skoczylas: To było po 1956 roku i wtedy był luz.

Anna Pietraszek: Przez chwilę?

Zbigniew Skoczylas: Przez trzy lata. To było możliwe w 1957, 1958, no może jeszcze trochę w 1959 roku, potem przykręcono śrubę, ale wtedy było możliwe. I wtedy jak wróciłem, to... Aha, bo jeszcze w 1947 roku kiedyś szliśmy sobie na Czarnego Miękusza. Tam był kiedyś taki szlak prosto z nad Kazarnicy, czarny szlak wyprowadzający na wierzchołek Czarnego Miękusza. Potem ten szlak skasowany, on dzisiaj nie istnieje. Myśmy szli tym szlakiem, a zesliśmy

na Chłopka. Znowu szło załamanie pogody, ostre. I zbiegamy tą ścieżką w stronę Kazalnicy. Na tej ścieżce spotykamy trzech panów. Jeden starszy pan, dwóch takich trochę młodszych. I ja mówię do nich, że panowie, radzę zabierać się stąd i to możliwie szybko, bo idzie załamanie pogody i to ostre. To był wrzesień, to się w tym momencie czasami zdarza, że w ciągu dwóch, trzech godzin robi się zima. To był sierpień, koniec sierpnia. No i oni zawrócili, ale szli znacznie wolniej, bo myśmy się śpieszyli i rzeczywiście, nim doszliśmy do schroniska, to już dobrze lało. To była taka pogoda, jak potem ta pogoda, w czasie której zginął Milówka i Westfalewicz, też właśnie w tamtej okolicy na Miękusze. Idę sobie w jakiś tydzień potem po chlebek, bo mieszkałem na Małej Łące. I tutaj na tym odcinku już tej szosy idącej na Kościelisko, spotykam tego starszego pana, który rzuca mi się prawie na szyję, a to dobrze, bo nas pan ostrzegł, bo rzeczywiście gdybyśmy tam byli i poszli do góry, to byśmy mieli kłopot. My tu gadu, gadu, a może byśmy gdzieś poszli? A on na to, proszę bardzo. No, to pan wymyślił. No dobrze, umówiliśmy się, że ja zejdem z Małej Łąki, on tam będzie na szosie przy wejściu w Małą Łąkę czekał rano. I że pojedziemy sobie na Kasprowy i z Kasprowego przejdziemy cały odcinek Orlej Perci aż do Krzyżnego, a następnie, wtedy jeszcze też była ścieżka grzbietem Wołoszyna, zejdziemy Wołoszynem do Rostoku. Wcześniej rano-śmy wyszli. No i wtedy ja się zorientowałem, że ten pan, nie mniej, nie więcej, tylko to jest generał Kuropieska, ówczesny szef sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego. I przez dwa tygodnie, aż prawie do połowy września, ja się wtedy dwa tygodnie spóźniłem do szkoły, chodziliśmy sobie po górach dzień w dzień. Jak byłem w Podchorążówce, to w 1950 roku dowiedziałem się, że Kuropieska został aresztowany ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu konsekwencjami. Jakoś ja się tym nie chwaliłem, nawet mi się upiekło, bo gdybym się chwalił, to obawiam się, że miałbym też niezłe perypetie. W każdym razie wylali by mnie na pewno z tej Podchorążówki. No i właśnie on po 1956 roku wrócił. Aha, bo to jeszcze była taka historia, że jednak ja miałem pewne kłopoty przy tym uzyskaniu tego wyjazdu, zgody na wyjazd. Ja się wkurzyłem i napisałem bardzo brzydki raport do ministra obrony narodowej, wykładając, że jest to nieprawda. No i to przeszło przez Kuropieska, on to wszystko pokoiarzył, przypomniał. Jak ja wróciłem w tych Alp, to już na mnie czekało wezwanie do oddziału Kadr Warszawskiego Okręgu. No i ja się tam zameldowałem u pułkownika Romanowskiego, takiego starego działacza komunistycznego, ale bardzo mądrego pana. I on mówi, to panie poruczniku, pana porucznika, pan generał Kuropieska chciałby mieć za adiutanta. Co pan na to?" A ja mówię, że nie przeszkadza mi to, mogę. No więc on spojrzał na mnie, mówi: „Tylko nie tak ostro”. No ja mówię: „Jeżeli generał chce, a obywatel pułkownik pyta, czy co ja na to, to ja odpowiadam, że mogę”. I zostałem tym adiutantem, dwa lata adiutantowałem generałowi. No to były to inne czasy, inni ludzie. Mianowicie adiutant nie był od załatwiania osobistych spraw pana generała, adiutant miał służyć wszelką pomocą w różnej dziedzinie. Między innymi wtedy organizowała się 6. Dywizja Powietrzno-Desantowa i generał mnie wezwał do siebie, i mówi: „Skoczył, napiszcie taką historię działań Wojsk Powietrzno-Desantowych, bo w Polsce niczego takiego szerszego nie ma”. No to ja powiedziałem: „Tak jest, obywatelu generale” i zabrałem się za robotę. No i to zostało opublikowane w „Myśli Wojskowej”, to jest numer chyba z 1958 roku, duża, chyba 30-stronicowa kobyła, ale rzeczywiście opisałem całą historię Wojsk Powietrzno-Desantowych okresu międzywojennego i II wojny światowej. No i dobrze to wyszło, generał był zadowolony. No i takie przygotowanie ćwiczeń, zabezpieczenie wszystkich tam ruchów generalskich, prowadzenie dziennika czynności. Adiutant to była figura poważna, która miała do spełnienia bardzo określoną rolę, ale to musiał być oficer. Dzisiaj adiutantami to są podoficerowie, wiadomo, nadzwyczajnych rzeczy nie należy tutaj wymagać. A wtedy to był taki pierwszy, jak generał miał jakieś wątpliwości, to po wyjaśnieniach wszystkich wzywał adiutanta i mówił: „A teraz rozpatrzyć się i zastanówcie, bo mam taki problem”. No to ja, adiutant świetnie orientował się w nastroju generała, więc ja na przykład wiedziałem,

że jak generał zaczyna mówić przez nos, to jest ciężko wkurzony. A generał miał taki obyczaj, że pracował długo, bo do 9:00–10:00 siedział w gabinecie, bardzo zresztą dużo również wyjeżdżał, ale do pracy przychodził na 9:30–10:00 i to podjeżdżał sobie pod cytadelę lub do portu Traugutta i szedł sobie piechotą od portu Traugutta, wchodził przez tę bramę, przez tę bramę od Krajewskiego chyba, bo tam taka ulica jest. No i wchodził, ja się meldowałem, generał fundował grabę, no i szedł do gabinetu, ale normalnie to zawsze zagadał, powiedział pogoda, ptaszki ładne, to tam, ale czasami wchodził, gęgnął coś przez nos, no to wiadomo było humor jeden, albo ciężki kac, albo jakieś takie historie. I wiadomo było wtedy, że pierwszy interesant ma przechłapane, nic nie załatwi, ba, może się spotkać jeszcze z jakąś, powiedzmy, grubą przykrością. No to ja wtedy ostrzegałem, miałem tę listę interesantów, dzwoniłem, mówię, że doradzam, może nawet nie dzisiaj, a jeżeli, to w znacznie późniejszej godzinie, ja zadzwonię kiedy będzie. No więc udawało się tak sflawić, sflawić, no chyba, że miało się kogoś na celu, kto był niemiłym, niedobrym człowiekiem, to wtedy się mówi: „A proszę, proszę”. No więc oczywiście takowy wylatywał w szybkim tempie z gabinetu, rozkładałem ręce: „No, przykro mi bardzo”. Ale czasami było tak, że nawet nie było kogo podstawić panu generałowi, więc gdzieś po godzinie samotnego siedzenia, generał dzwonił, ja się meldowałem, i wtedy generał wylewał swoją złość, nie na mnie, ale w mojej obecności. „Co to wszystko znaczy, znowu, że tam ktoś zastrzelił?” albo „w takiej jednostce kradną, jak?” I tak trwało z 15 minut, ja spokojnie stałem, byłem, potem generał milkł, ja mówię: „To ja proszę o pozwolenie odmeldowania się” ale robiłem w tył zwrot, wychodziłem do adiutantury, po 10 minutach generał wychodził, radosny jak szczygiełek i mówi: „O, bardzo ładna pogoda, może pójdziemy na kawę?” No i tak to wyglądało. Generał był furiat czasami, pamiętam takie ćwiczenie, taki był, jakaś gra wojenna. A generał Duszyński pierwszy raz występował w roli dowódcy Polskiego Frontu, był szefem inspektoratu szkolenia Kuropieska, grał dowódcę jednej armii, dowódcą drugiej był na bazie Śląskiego Okręgu generał Huszcza, a na bazie Pomorskiego Okręgu, oj, to była postać bajkowa, ja sobie przypominę nazwisko, i coś wieczorem generał ustalał, to były jakieś forsowanie Odry, tam był już uchwycony jakiś przyczótek na tej Odrze, na ten przyczótek generał zadyrygował, zadyrygował pułk czołgów armii, ciężkich czołgów. No i rano wysłano już tę decyzję generała do sztabu frontu, a kopię oleatu, oleat, kopia z mapy, został przedstawiony generałowi do podpisu i z tym, z tą kopią czekał już na to, że generał się obudzi i wstanie. Ładny ranek był, słońeczko, to chyba był wrzesień, Florek, taki mój przyjaciel, jeszcze z jarosławskich czasów, on był szefem sztabu pułków, w którym pełniłem służbę, no i generał wyszedł, jeszcze w pidżamie nawet ze swojego autobusu sztabowego i ogląda to, a gdzie pułk czołgów. No i patrzymy, a na tym oleacie tego pułku czołgów, no jest, generał wpadł w furię. On wrzeszczał strasznie, tak był wściekły. Wszystko się rozbiegło. Ja byłem do tego przyzwyczajony, więc stoję. On na wszelki wypadek, żeby miał świadków w swojej furii, złapał Florka za rękę i ryczy, ryczy przed siebie, no piekło straszne. Odsądza od czci i wiary cały sztab, oddział operacyjny i w pewnym momencie Florek, który był delikatny chłopak, zemdlał i przewrócił się, ocknął się. Ryk generalski się urwał. Generał patrzy na mnie: „Popatrzcie, jaki on delikatny”. No i powiem brzydko, Florka postawiliśmy na nogi, generał go przeprosił, bo on jak wpadał, znaczy on jeżeli ktoś był winien, to nie wrzeszczał, ale wtedy był bezwzględny. Na zimno faceta operował. Natomiast lubił mieć świadków swojej wściekłości, takiej nieadresowanej ad persona. A był bardzo utalentowanym generałem szczebla operacyjnego, to znaczy takim klasycznym facetem dowodzącym na szczeblu armia. Chyba i w... Armia, właściwie generałowi armia leżała najlepiej. Ojej, jakżeż się nazywał Michał, potem był szefem taki, moczymorda straszliwy. Pamiętam, parę było takich karier, które się tak złamało na skutek wódy w Wojsku Polskim. Był taki szef zarządu operacyjnego, generał Orzechowski. Świetny operator, kapitalny, ale zniszczyła mu karierę wóda. Pamiętam jak dziś, kiedyś rano generał przyszedł, taki właśnie w nie naj-

lepszym nastroju, ale zaraz wezwał mnie do siebie i mówi: „Słuchajcie, jedźcie na izbę wytrzeźwień, tam powinien być generał Orzechowski”. No więc wsiałem w samochód i pojechałem na izbę wytrzeźwień. No rzeczywiście, zgarnięto pana generała jak rozrabiał w Bristolu, ciężko napity, jeszcze się stawiał, rzucał, chyba mu nawet dołożono parę pał, milicja, bo był po cywilnemu. Gdzieś generał Kuropieska, który też tam był, ale ten się jakoś wyślizgnął z tego wszystkiego. No więc ja tam załatwiłem zwolnienie pana generała, no ale on jeszcze był na dobrym cyku, bośmy go siłą wsadzili do samochodu, to on nam chciał jeszcze bryknąć, a myśmy go wieźli do domu. A on miał żonę Platerówkę, bardzo bojową panią. I chyba chciał dać dyla, żeby do domu nie trafić, bo ona dzwoniła już, skądś się zorientowała, że oni byli we dwóch. I jak ja zameldowałem, że: „Obywatelu generale, dzwoni pani Orzechowska” „To powiedzcie, że mnie nie ma”. No to ja poszedłem do swojego aparatu, bo ona na mój aparat dzwoniła, ja mówię, że generał jest niestety nieobecny w tej chwili, bo właśnie jest w trakcie odprawy, nie mogę tam wejść. Ona mówi: „Niech pan nie udaje, wiem, że siedzi w gabinecie i trzęsie portkami”. No więc zawieźliśmy generała tam na Belwederską, na dół, jak się zjeżdża tam, są te bloki, gdzie generałowie mieszkali. Wyprowadziliśmy go przed drzwi jego mieszkania, zadzwoniliśmy, otwarły się drzwi, wypadła taka ręka, złapała, wciągnęła, zamknęła. Wiadomo, że był chyba łomot, bo ona była bojowa baba. To była... Ale to i skończyła go wóda. Drugą taką tragiczną postacią był generał Chocha. W swoim czasie organizator 6. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Świetny, doskonały dowódca dywizji, też taki talent operacyjny, dużego formatu. Nie tyle był doskonałym dowódcą, ile był świetnym operatorem. Został szefem sztabu generalnego. No ale miał taki ciąg do wódy, że i to wiesz, po tych najgorszych knajpach warszawskich. Ginał im na 4, 5, 6 dni. Szukali go na wszystkich stronach. Skończyło się zwolnieniem do rezerwy. Śmierć, no, można by mnożyć. Takie przypadki. Tam miałem okazję się otrząsać z bardzo różnymi, bardzo dziwnymi historiami. Potem generał doszedł do wniosku, że moje talenty, bo ja bardzo dobrze władałem. Właściwie język niemiecki był moim drugim rodzinnym językiem od dziecka. Bieczko miało bardzo dużą mniejszość niemiecką. Właściwie na dobrą sprawę to była większość niemiecka, jeżeli tak na serio sprawę traktować. Więc myśmy wszyscy mówili, byli dwujęzyczni. Jako tako tam się zawsze potrafiłem wyrobić w języku angielskim biernie. Znaczący z czytaniem. Ja czytałem teksty wojskowe bez żadnych problemów, bez słownika. Więc generał doszedł do wniosku, że moje miejsce będzie w oddziale rozpoznawczym sztabu okręgu. Wtedy szefem tego oddziału był pułkownik Jerzy Lewandowski, też postać rzadka. Oficer Armii Andersa. Z Armii Andersa był delegowany do szkoły sztabów Stanów Zjednoczonych. Skończył i wrócił po wojnie do Polski. Oczywiście potem siedział chyba 4 albo 5 lat. Zrehabilitowany został właśnie szefem oddziału rozpoznawczego. Malutki, nieduży pan, metr sześćdziesiąt w kapeluszu, ale iskierka, sama energia. Bez przerwy, pełen energii, najbardziej zwariowanych pomysłów. No więc tam właśnie wtedy, ponieważ myśmy wtedy ostro ćwiczyli operację, właśnie tę przesławną, powietrzno-morską, czy morską powietrzną operację desantową na Wyspach duńskich. I to do dnia dzisiejszego wszystko pamiętam. Mianowicie lądowaliśmy zawsze w zatoce Faxe. To jest taka zatoka. Dwie zatoki są na południe od Kopenhagi. Pierwsza to jest Faxe, druga jest Køge. To wszystko jest przedzielone Półwyspem Klint, Stevns Klint. No i na tym Półwyspie Stevns Klint, Duńczycy mieli taką bardzo nowoczesną baterię, 155 milimetrowych Armat Boforsa. A kawałek w głębi lądu, za Zatoką Køge, jest takie wzniesienie, 136 chyba metrów nad poziomem morza. I to stamtąd widać całą tę zatokę na przestrzał. No więc były problemy tam z tym lądowaniem. Mianowicie zakładano, że Duńczycy zamkną te zatoki przed podwodnymi zaporami przeciwdesantowymi stawionymi na głębokości 2,5 metra, na które się ponadziewają te nasze różne łodzie desantowe i inne pływające świnstwa i ta piechota będzie się musiała wyładowywać na głębokościach 2,5 metrowych. Czyli blu, blu, blu i koniec. No więc otwarty był problem wykonania przejść w tych zawodach. To ja sobie wtedy

przypomniałem, że przecież takie sprawy, z tymi sprawami zetknęli się w Normandii Anglicy i Amerykanie i na dużą skalę Amerykanie na wyspach Pacyfiku. Poszukałem literatury. Obejrzelismy sobie to wszystko. Namówiłem szefa saperów, wówczas pułkownika, potem generała Piotrowskiego. Jakiś czas pan generał Piotrowski był chyba nawet ministrem górnictwa. I żeby oni, saperzy, żeby napisali podręcznik o przeszkodach przeciwdesantowych. Saperzy to zrobili. No i ja zaproponowałem, że sformujemy pływaczów do wykonania takich zadań. No i oczywiście pan Jerzy Lewandowski natychmiast z entuzjazmem się zgodził. Generał to przyklepał i przystąpiliśmy do działania. Wybrałem sobie ze 24 chłopaków z całego okręgu. Wynajęliśmy na całą noc, na dwa miesiące basen Pałacu Kultury i Nauki. Zrobiliśmy takie lekkie modele, ale normalnego wymiaru, tych wszystkich zapór przeciwdesantowych. I przez dwa miesiące pracowaliśmy tutaj, żeby się ludzie tego wszystkiego nauczyli. Bardzo dobrzy to byli chłopcy. A oni oprócz czego mieli jeszcze, cudo, na Akademii Wychowania Fizycznego. Mieli zajęcia strzeleckie, minerskie. Tryb był straszny, bo zaczynaliśmy dzień o godzinie 8:00 wieczór. Była pobudka. Jechaliśmy na basen. Na basenie zajęcia trwały do godziny 6:00 rano. O 6:00 rano wracaliśmy. Było krótkie spanie. Potem był AWF, potem było strzelanie. Albo minierka w Czosnowie, w Twierdzy Modlińskiej. No i potem krótkie spanie, i znowu ta noc. Miałem święty spokój. To wojsko nie rozrabiło w ogóle. Tylko chodziło na zajęcia i próbowało się wyspać w międzyczasie. Potem myśmy się przenieśli na jeziora mazurskie. No a potem myśmy się przenieśli nad morze. No i tak mi zleciał cały rok, trwało to.

Anna Pietraszek: To znaczy dokładnie który?

Zbigniew Skoczylas: To był 1959–60.

Anna Pietraszek: Jak się nazywało to miejsce? Bo powiedziałaś, że do rozpoznania. A jak się to nazywało? Pełna nazwa tego...

Zbigniew Skoczylas: Oddział Rozpoznawczy Sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Anna Pietraszek: I co dalej?

Zbigniew Skoczylas: A, jeszcześmy skakali ze śmigłowców do wody. I wyciągaliśmy się ze śmigłowców do wody. I znaleźliśmy taką metodę, na Amerykanach żeśmy skopiowali. Na pełnym gazie szedł kuter. Pływaczowie byli ustawieni w linii po wykonaniu zadania w wodzie. Był wystawiony taki wytyk z kutra, na którym był trapez podwieszony. I pływaczowie musieli się złapać tego trapezu. W tym momencie szybkość kutra wyrzucała go z wody. I za kuter go łapał bosman Brucki, takie potężne chłopisko, metr dziewięćdziesiąt, 148 kilo żywej wagi. Jedną ręką faceta wrzucał do kutra i tak po kolei przy... Bardzo ładne to były zabawy. No i potem generał doszedł do wniosku, że jeżeli ja mam robić karierę wojskową, to muszę podowodzić. I wypchnął mnie na dowódcę batalionu do 1. Pułku w Wesolej. Dowódcą pułku był wtedy pułkownik Roztubirski. Przez dwa lata dowodziłem tamtym batalionem. Roztubirski to był też ciekawy, Kuba. No wiadomo, aelowiec, bohaterski Powstaniec Warszawski. Było, nie było, Virtuti Militari. Osobiście powiesił mu na piersi Bór-Komorowski. Postać więcej niż kontrowersyjna. To znaczy, to był typowy zabijaka. Taki facet do kompanii Kmicicowej. Ale inteligentny, nie było to głupie, ale on nie wyrósł z wieku, że tak powiem, krótkich

spodni. Do końca swojego życia on był taki harcerz. W tym takim nie najlepszym pojęciu harcerz. Kochał biegać z jakąś bronią, w hełmie. To były zajęcia, które on ubóstwiał. A poza tym, powiedzmy sobie szczerze, był dziwkarz. Co się na niektórych stanowiskach zdarza, a jemu się bardzo często zdarzało. Zmieniał panie, natomiast jego żoną była pani Maria, siostra pana marszałka Spychalskiego. Bardzo mądra i bardzo fajna pani. Muszę powiedzieć, że właśnie dlatego nie bardzo lubiłem generała, bo on się wiecznie z jakimiś dziwusami woził. Natomiast pani Maria, zresztą potem zmarła na jakąś nowotworową chorobę, nie pomnę jaką. Czego, ale tego. No więc tak to było. No więc przez dwa prawie lata urzędowałem tam w charakterze tego dowódcy batalionu. Był to okres bardzo znowu intensywnych ćwiczeń. Ja je dwa razy przeżywałem, bo bardzo intensywnie ćwiczone wojsko w czasach pana marszałka Rokosowskiego. Myśmy nie wyłazili z poligonu. Bez przerwy ćwiczenia, ćwiczenia i ćwiczenia, marsze. Ta piechota to wtedy maszerowała całymi dziesiątkami kilometrów. Największy marsz, jaki odważyłem w tym czasie, to było 70 kilometrów w ciągu chyba 14 godzin czy 15 godzin. Ale to wojsko było, bida była jednak też wtedy straszna. Butów wojsko nie miało. Czasami było tak, że jedna trzecia mojej kompanii musiała siedzieć w kapciach, bo buty były u szewca, a nie było rezerwy. Ale szkolono ostro. Dużo było strzelań, i trudnych. Dzisiaj strzelania nie są trudne. KBK jest bronią, która właściwie sama strzela. Łatwo strzelać, odrzut jest minimalny, łatwo wyszkolić żołnierza. Wtedy podstawową bronią był KBK wzór 44, który dość ostro kopał. Żołnierz musiał się dobrze nauczyć trzymania broni, celowania, ściągania spustu, bo to nie było. A jednak mieliśmy takiego postrzelonego dowódcę dywizji, generała pułkownika Sadykiewicza, postrzelony, przepraszam, bardzo mądry pan, ale pasjonat. I on kochał się w wyszkoleniu strzeleckim. Gnębił nas potwornie. To nauczanie tego strzelania, strzelania były trudne. Zamykające cykl szkolenia strzelca, strzelanie, było do tarczy pierścieniowej, szkolne strzelanie numer 7, z trzech postaw, leżąc, klęcząc i stojąc, leżąc bez podpórki. I wysoka punktacja trzeba było nastrzelać, chyba minimum trzeba było mieć 60 punktów wystrzelanych. Tarcza pierścieniowa 10 kręgów. To było bardzo trudne. A pamiętam inspekcję chyba w 1953 roku, kiedy całe kompanie wystrzeliwały na ocenę bardzo dobrą te strzelania. Duża sztuka. I podobnie było na początku, w końcu lat 50., początku lat 60. w okręgach wojskowych, a już u Kuropieski to już był dom wariatów. Nieustanne szkolenie i ćwiczenia, ćwiczenia, i ćwiczenia, i ćwiczenia. No wtedy właśnie, jeszcze w moich adiutanckich czasach, to formowano 6. Dywizję Powietrzno-Desantową. Potem, i tam bywaliśmy częstymi gośćmi z panem generałem, który bardzo tę dywizję sobie ulubił. Zresztą nieźle tam też popijał, to była inna... Warto podkreślić jedną rzecz. Otóż generał Kuropieska, mówię to z całą odpowiedzialnością, był jednym z trzech znanych mi przypadków, którego się nie imać wódka. To znałem tylko trzech takich ludzi, którzy mogli wypić każdą ilość i byli na chodzie. To był on, taki mój przyjaciel, dowódca 1. Batalionu w 1. Pułku, Genio Habdas. Potem razem służyliśmy w 6. Dywizji Powietrzno-Desantowej, i mój tata. Ja już takich talentów nie odziedziczyłem. Mogłem sporo, ale... Natomiast ci trzej pili całą noc i rano, proszę cię, otarłszy usta, zakąsiwszy ogórkiem, ewentualnie popiwszy kwasu z kapusty lub z ogórków, zabierali się do normalnej, w pełni wydajnej pracy.

Anna Pietraszek: Jakie były twojego taty losy, kiedy umarł?

Zbigniew Skoczylas: Ojciec zmarł w 1976 roku.

Anna Pietraszek: A czym się zajmował?

Zbigniew Skoczylas: Ojciec w okresie wojny był w obozie.

Anna Pietraszek: W jakim?

Zbigniew Skoczylas: W takim zamkniętym obozie przemysłowej pracy, do którego go Niemcy wwieźli pod Lipsk.

Anna Pietraszek: A potem?

Zbigniew Skoczylas: A potem był dyrektorem fabryki maszyn rolniczych i kierownikiem wielkich budów. Żeby było ciekawiej, ukończył cztery klasy szkoły powszechnej. Tylko. Natomiast z tego, co mi relacjonowali koledzy ojca, drugiego takiego kierownika budowy, na całej południowej, głównie na Śląsku, między innymi, on budował Chełmek, tę wielką fabrykę butów. Tata był utalentowany, rzadkiego talentu, proszę cię, postać. Z iskierką bożą. A na budowie mógł się znać, dlatego że jako 14-letni chłopak pracował jako murarz przed ucieczką do Legionu. I to w dobrym takim murarstwie, jak twierdził, że na winkiel, prawda, trzeba było pion. Najlepszy murarz pracował na winklu, żeby się wszystko schodziło. Piękne rzeczy. Więc w tym pierwszym pułku, ćwiczeń było dużo, a jednocześnie już dzisiaj nikt by takich ćwiczeń nie potrafił przeprowadzić. Pamiętam takie ćwiczenie. Ćwiczył, 6. Dywizja Powietrzno-Desantowa, a z 1. Dywizji zbiorczy pułk, każdy pułk wystawiał jeden batalion do udziału w tym ćwiczeniu. I brał w ćwiczeniu udział cały pułk czołgów z Sanoka. W Sanoku po 26. pułku, który się wyprowadził do Jarosławia, sformowano pułk czołgów. I to było takie ćwiczenie, które miało dać wnioski z możliwości szybkiego przegrupowania jednostek Warszawskiego Okręgu Wojskowego z obszaru południowej Polski na kierunek nadmorski, czyli województwo szczecińskie do działania potem poprzez Pomorze, dalej w głąb Niemiec. Była zima. To był początek lutego. Pogoda była potworna. Najpierw padał deszcz, potem to wszystko zamarzło. Ja pamiętam, że jak wyskoczyłem z samochodu, bośmy noc spędzili, nie było nawet gdzie się podziać w tym deszczu i w ten wiatr potworny, więc wojsko całe siedziało pod plandekami na samochodach i tak żeśmy przekiblowali do rana. Rano ruszyliśmy do dalszego marszu, bo taki mieliśmy harmonogram działań. To jak wyskoczyłem z samochodu, to nie ruszając nogami przejechałem w poprzek szosy, po tym lodzie. Jechaliśmy powolutku. Miałem szczęście. Żaden z moich 30 samochodów się nie uszkodził. Ale pułk czołgów, który przerzucono transportami kolejowymi do Muszak, tu na Pomorzu, stamtąd szedł już na gąsienicach, jak się to ładnie mówi. Przeprawa była pod Grudziądzem, przez Wisłę. Wisłą płynęła kra, i to potężna. Ale do przeprawy nie doszło, bo na przeprawę przyjechał tylko szef sztabu pułku z jednym samochodem. Reszta pułku leżała po wszystkich rowach na trasie między Muszakami. Jechałem potem, to widziałem, jak T-34 rąbła w taką wielką olchę i wbiła się działem w tę olchę. Tak się pięknie nadziała. I to poszło. Cały ten odcinek drogi nadawał się do kapitalnego remontu. Jak przeszło przez nią, brało udział chyba, bo pułk miał 80 parę czołgów, ale 45 czołgów uczestniczyło w tym wszystkim. No i to były koszty ćwiczenia. Takie były koszty ćwiczenia. Więc ćwiczone dużo i bardzo realnie. Szefem sztabu, okręgu był wtedy najpierw generał Jankowski, Aleksander, mądry pan, z tym że po ciężkim urazie w czasie wojny, kręgosłupa, on był nie bardzo ruchliwy, ale był mądrym, dobrym szefem sztabu od tej strony administracyjno-organizacyjnej. Był sprawny. Drugi Jankowski był zastępcą do spraw politycznych, niestety krótko, bo potem zmarł na białaczkę. I po nim został zastępcą dowódcy okręgu generał Jastrzębski. To była dziwna postać. To jest ten, który występował jako niemiecki generał w okresie drugiej wojny światowej. On nie tyle był jako generał, jako Sonderfuhrer w stopniu generała, bo to był taki komunista, wywiad chyba jednoznacznie GRU albo NKWD,

takie rzeczy, ale poza tym bardzo utalentowany, mądry pan. Aleksander Jankowski był żołnierzem 1. Dywizji Kościuszkowskiej z polskiej rodziny deportowanej gdzieś na obszar Związku Radzieckiego. Z dywizją wrócił do kraju. Pełnił ciekawą funkcję. Był szefem sztabu w batalionie platerówek. Bardzo ciekawa funkcja. To jedno. Natomiast ten drugi, Aleksander, Henryk chyba, o ile pamiętam. Tak, Henryk. Ten był Aleksander, a ten drugi Henryk. I to nazwisko jest nieprawdziwym nazwiskiem, bo to Żyd z AL-u. Ale z takich fajnych, bojowych, proszę ciebie. Bardzo mądry pan. Niestety ciężko schorowany. W ogóle to były ciekawe postacie tam. Max Sobiesiak, taki znany partyzant z Polesia. Postać z bajki zupełnej. Oliwa wspaniała. Temperament, no, Zagłoby. Ale dzielny partyzant. Oficer mierny. Skończył zresztą jako kontradmirał, bo był szefem obrony przeciwlotniczej Warszawskiego Okręgu, a potem się przekwalifikował, poszedł do marynarki wojennej i tam chyba był w aparacie politycznym jako kontradmirał. Tak jest. Generał Czyżewski, też taka postać z AL. Jakby to delikatnie powiedzieć. Wielce zasłużony, ale niewysokich lotów. Nie znosił go Kuropieska. Uważał, że na kaprala się nie nadaje, a tu został dowódcą 1. dywizji, więc były bez przerwy kłopoty. Ale z kolei byli fantastyczni oficerowie. Taki wtedy jeszcze bardzo młody pułkownik, późniejszy generał dywizji, Michał Stryga. Szef sztabu wieloletni Okręgu Warszawskiego, potem dowódca Okręgu Warszawskiego, wreszcie główny, generalny kwatermistrz Wojska Polskiego. Bardzo mądry i utalentowany oficer. Zgorzkniał na starość, bo jakoś za długo siedział jako szef sztabu i dowódca Warszawskiego Okręgu i to się mu... No, zgorzkniał. Jego rówieśnicy poszli do góry, ale był utalentowanym, wielce utalentowanym oficerem, operatorem, bo to taki operacyjny umysł. Było sporo takich talentnych.

Anna Pietraszek: Czyli dwaj Jankowscy, oni nie mieli ze sobą. Żadnych związków rodzinnych?

Zbigniew Skoczylas: Żadnych, nie, bo jeden był absolutnie z Polski, a drugi się nie nazywał Jankowski. To jest zmiana nazwiska po prostu.

Anna Pietraszek: A jak się nazywał?

Zbigniew Skoczylas: Nie wiem, nie dochodziłem nigdy takich rzeczy. Wielu było takich, którzy, na przykład Orzechowski generał, no, też się nie nazywał Orzechowski z domu.

Zbigniew Skoczylas: Rosenschwanz, nie wiem.

Anna Pietraszek: A Jastrzębski? Oj, nie pamiętam. Jastrzębski to absolutnie... W moim przekonaniu był to kadrowy pracownik radziecki. Znaczący on chyba trafił, to był... Komunistyczna Partia Polski miała wojskówkę tak zwaną, wydział wojskowy, który się zajmował na zlecenie wiadomego mocarstwa działalnością wywiadowczą w polskich siłach zbrojnych. I chyba Jastrzębski był z tego rzutu. On był kadrowym pracownikiem wywiadu radzieckiego w Komunistycznej Partii Polski.